

Wiktorja

Moja przygoda z pełnieniem funkcji rodziny zastępczej rozpoczęła się w lutym. Byłam wtedy na rencie i sama wychowywałam trzy córki. Najstarsza Hania skończyła już studia i założyła swoją rodzinę. Dwie młodsze córki mieszkają ze mną: Usia była na pierwszym roku studiów, Martyna uczyła się w liceum ogólnokształcącym. Większych problemów wychowawczych z córkami nie miałam, więc pomyślałam, że mogłabym stworzyć ciepły, spokojny dom dla opuszczonego dziecka. Dlatego udałam się do Ośrodka Adopcyjno - Wychowawczego (OA-W), gdzie przyjęto mnie bardzo życzliwie. Niedługo po pozytywnym ukończeniu kursu dla rodzin zastępczych „PRIDE” usłyszałam od pracownicy OA-W, że mają dla mnie dziewczynkę. Poszłam z moją córką do Domu Małego Dziecka. Nie spodziewałam się, że to będzie takie małe dziecko, miała zaledwie roczek, a ja już byłam po pięćdziesiątce.

Kiedy zobaczyłam bobasa o jasnych włosach, wystrojonego w czerwoną sukienkę z białym kołnierzykiem wiedziałam, że jest dla mnie przeznaczony. Poinformowano mnie, że dziecko jest bardzo żywe i ma skazę białkową, z której się wyrasta. Dziewczynka ma na imię Wiktorja, urodziła ją szesnastoletnia mama, która również była wychowanką tego domu.

Zanim zostały załatwione wszystkie formalności sądowe (trwało to około roku) codziennie odwiedzałam Wiktorję. Z jednej strony byłam pełna radości, że mogę z nią przebywać i poznawać, z drugiej towarzyszył mi ogromny smutek, gdy widziałam dzieci, które lgnęły i tuliły się do mnie.

Poznałam tam siedmioletniego Pawełka. Zauważyłam, że chłopiec co-

dziennie na mnie czekał, zaczął do mnie mówić „mamo” i prosił abym zabrała go do swojego domu. Nie zapomnę sytuacji, kiedy ubierałam się w palto, by wyjść do domu po kolejnych odwiedzinach u Weroniki. Pawełek też zaczął się szybko ubierać, chwycił mnie za rękę mówiąc: „*Mamo! Zabierz mnie do domu!*” Gdybym wcześniej nie poznała Wiktorii, na pewno Pawełek byłby moim synem.

Początki pobytu Wiktorii w moim domu były dla niej bardzo trudne. Płakała, była nieufna, nerwowa, bała się. Również dla mnie i moich córek proces asymilacji do nowego życia był bardzo trudny. Towarzyszyły mi wielkie emocje, złożone uczucia, czasem sprzeczne. Myślałam: „*Co ja najlepszego zrobiłam?*” Miałam poukładane, spokojne życie. Odzwyczaiłam się od nieprzespanych nocy, karmienia, porozrzucanych zabawek, itp. Jednym słowem teraz mój dom „stał na głowie”. Powoli, poprzez codzienne przebywanie przywiązałyśmy się do siebie i nawiązała się więź emocjonalna i uczuciowa. Wiktorია była przytulana, pieszczona, całowana i w ten sposób miała do nas coraz większe zaufanie.

Córki, wracając ze szkoły, za kieszonkowe kupowały Wiktorii lizaka, za to ona cieszyła się na ich widok i przynosiła im kaptcie. Życie wracało do normy, a dziewczynka wniosła w dom dużo, dużo radości.

Po pół roku dostałam propozycję z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej i OA-W, abym prowadziła pogotowie rodzinne. Przyznaję, iż miałam duże opory i wątpliwości przed podjęciem się tego wyzwania. Zdawałam sobie sprawę, iż jest to praca bardzo trudna zarówno pod względem fizycznym jak i psychicznym. Po przemyśleniach oraz naradzie z najbliższymi podjęłam decyzję i tym sposobem powstało pogotowie rodzinne. Zostało utworzone z myślą o dzieciach, które potrzebują pomocy, opieki i domu.

W ciągu pięciu lat przebywało u mnie dziewiętnaścioro dzieci w różnym wieku, począwszy od tych najmłodszych (noworodków), a skończywszy na dzieciach w wieku szkolnym.

Noworodki przychodzące do mnie były w większości przypadków obciążone takimi czynnikami jak: spożywanie alkoholu i narkotyków, złe odżywianie, niehigieniczny tryb życia, urazy fizyczne w czasie ciąży matek. Te czynniki wywoływały takie problemy zdrowotne jak: u Weroniki — zespół alkoholowy FAS, u Ani – cytomegalia, u Bogdana — padaczka.

Najszybciej z pogotowia odchodziły noworodki przeznaczone do adopcji. Żadne małe dziecko opuszczające mój dom nie miało choroby sieroczej. Widziałam małżeństwa, które były spragnione dziecka, widziałam ich radość, entuzjazm i wdzięczność. Odchodzili szczęśliwi, do swojego domu, z dzieckiem. Błogosławiłam zarówno dziecko jak i rodziców.

Z kolei przebywające u mnie dzieci starsze w większości przypadków doświadczały w swoim życiu przemocy fizycznej, psychicznej i seksualnej. Były pozbawiane takich niezbędnych dla rozwoju rzeczy jak: pożywienie, odpowiednia higiena, ubrania itp. Dlatego nie dziwiło mnie, że przebywając u mnie, były zaskoczone, np. codziennym obiadem, brakiem przemocy czy tym, że nie pije się u mnie wódki i nie pali papierosów.

Nigdy nie zapomnę dwóch sióstr: Magdy i Karoliny. Dziewczynki wiedziały, że u mnie mogą być tylko do czasu znalezienia dla nich rodziny zastępczej. Nie chciały ode mnie odejść. Magda się przekomarzała, dlaczego Wiktorია u mnie może być, a ona i siostra nie? Kiedyś Karolina zadała mi pytanie: „*Ciociu, jak Wiktorია będzie w trumnie, to ja i Magda u Ciebie zostaniemy*”? Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że w główce tego dziecka zrodził się pewien straszny pomysł.

Na kredensie leżały tabletki. Karolina wzięła leki i zaczęła karmić nimi dwuletnią Wiktorię. Krzyczała: „*Jedz! Jedz!*”. Będąc w innym pokoju zainteresowałam się, co dziewczynki jedzą. Gdy to zobaczyłam, ogarnęło mnie przerażenie. Wiktoria już połknęła kilka tabletek, więc wezwałam pogotowie. Zrobiono jej płukanie żołądka. Kiedy zapytałam Karoliny dlaczego to zrobiła, odpowiedziała, że jej mama mówiła, że zje wszystkie tabletki i umrze. Karolina była molestowana seksualnie przez konkubenta matki. Obie siostry szukały pożywienia w śmietnikach, często w nocy przebywały same w domu.

Po tym incydencie z tabletkami bardzo bałam się o Wiktorię i dlatego, kiedy odchodziły do rodziny zastępczej, odczuwałam nie tylko smutek, ale i ulgę.

W pogotowiu rodzinnym przebywała również Daria. Mając dwadzieścia miesięcy nie chodziła, nie umiała mówić, nie potrafiła nawet płakać, tylko cichutko kwiliła. Była dziesiątym dzieckiem w rodzinie i miała bardzo widoczny zespół alkoholowy FAS. Nazywaliśmy ją „Minutka”, bo była taka malutka i drobna. Zachowywała się jak małe, zaszczute zwierzątko. Przeżyła bardzo wiele. Na pośladkach miała blizny po przypaleniach od papierosów. Jaką mieliśmy radość, gdy po miesiącu ćwiczeń dziewczynka zaczęła chodzić! Stopniowo nabierała zaufania, zaczęła się bawić z dziećmi, zaczęła być radosna. Miała chorobę sierocą i pomimo przytulania i pieczyoty nie mogłam wyeliminować jej „bujania się”. Kiedy odchodziła do innej rodziny nadal się „bujala”, ale to już była inna Minutka, zaczynała mówić i była radosna.

Dziesięcioletni Bogdan chodził do szkoły specjalnej. Miał duże zaległości. Wychowywała go matka alkoholiczka. Po pijanemu biła chłopca, rzucała w niego talerzami. W dzień chłopiec zebrał, bo był głodny, a nocami często

wąłęsał się po ulicach, gdy mieszkanie było zamknięte, bo pijana matka spała.

Kiedy przyszedł do mnie, był dzieckiem nieśmiałym i zastraszone. Najbardziej ucieszył się na widok telewizora, bo w domu go nie miał. Chorował na padaczkę. Pilnowałam, aby regularnie brał leki. Stopniowo uczył się coraz lepiej, a na koniec roku szkolnego był najlepszym uczniem w klasie. Byłam z niego bardzo dumna! Niestety wrócił do matki, która podjęła leczenie w poradni AA. Bogdan zmienił się na niekorzyść. Nadal włóczył się po ulicach, pali papierosy, przebywa w towarzystwie podejrzanych ludzi. Bardzo nad tym ubolewam.

Podsumowując, mogę powiedzieć, że każde dziecko to wielki dramat i osobna historia strasznego dzieciństwa. Miały dobre i złe wspomnienia. Niektóre z nich oddałyby wszystko by wrócić do naturalnej rodziny, inne natomiast, doznając od najbliższych wiele zła nie chciały wrócić do rodziców i unikały spotkań z nimi. Dochodzę do wniosku, że wszystkich ich łączył ten sam cel: posiadanie prawdziwego, ciepłego, bezpiecznego domu.

Chciałabym zwrócić uwagę na biologicznych rodziców tych dzieci. Z mojej obserwacji wnioskuję, iż większość wykazuje postawę roszczeniową, uważają, że wszystko się im należy, a od siebie nie dają nic. Niejednokrotnie obarczali mnie winą za pobyt ich dziecka w pogotowiu nie widząc w sobie żadnej winy za zaistniałą sytuację. Na spotkaniach z dziećmi potrafili je buntować przeciwko mojej osobie i źle się o mnie wyrażać, co psuło moje relacje z podopiecznymi. Zdarzały się przypadki, że rodzice przychodzili na spotkania pod wpływem alkoholu, demonstrując swój negatywny stosunek do mnie.

Przyznaję, że mimo chwil zwątpienia i załamania w trakcie wykonywania

tej pracy, którą nie sposób nazwać tylko pracą, gdy widzi się postępy w rozwoju fizycznym i intelektualnym dzieci, na nowo nabierałam siły i optymizmu, iż jest to mój sens życia dający mi również wiele radości i satysfakcji. Pracując pięć lat wypuściłam spod swoich „skrzydeł” wiele dzieci. Niektóre z nich stały się bliskie memu sercu. Niejednokrotnie spotkałam się ze zdziwieniem, jak można przyjąć dziecko, przyzwyczaić się, pokochać, a potem oddać do innej rodziny. Tylko jedno w tych momentach trzymało mnie na duchu: wiara i przekonanie, że idą w „dobre ręce”. Nie mając tej wiary, nie mogłabym podjąć się tego zadania.

Niektórzy ludzie zarzucali mi, że żyję z pieniędzy tych dzieci zadając pytania i wyrażając opinie typu: *„Ile macie na dzieci? Górę pieniędzy, więc możecie sobie na wszystko pozwolić!”* itp.

Wówczas najczęściej odpowiadałam: *„W domach dziecka jest wiele istot potrzebujących pomocy. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ty również miała takie dzieci, taką pracę i takie pieniądze”*.

Niedawno zrezygnowałam z pracy w pogotowiu rodzinnym i jestem już na zasłużonej emeryturze. Ale moja Wikusia została. Jest ze mną już sześć lat. Początkowo mówiła na mnie babciu, ale stwierdziłam, że każde dziecko musi mieć mamę i faktycznie nią jestem, dlatego mówi mi mamó. Od trzeciego roku życia chodziła do przedszkola, a teraz jest uczennicą pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Wiktorია ma problemy zdrowotne. Choruje na ADHD i ma ogniska padaczkowe. Jest pod stałą opieką lekarską. To bystra dziewczynka, która szybko się uczy, zna już wszystkie litery, umie czytać, pisać i liczyć. Ja i cała moja rodzina bardzo ją kochamy.

Nie sposób przelać na papier ile radości, szczęścia i miłości daje mi naj-

młodsza córka, Wiktoria. Nie mam syndromu „pustego gniazda”, bo pomimo iż córki założyły swoje rodziny mam jeszcze ją.

„Mamo, ja nigdy nie wyjdę za mąż, przecież muszę się tobą opiekować” mówi mi czasem córeczka. Czyż to nie jest piękne?

Sprawdza się zasada: „dajesz miłość - miłość do ciebie wraca”.

Uważam, że tworzenie rodzin zastępczych dla dzieci opuszczonych i zaniedbanych jest doskonałym przykładem tego, że nawet w dzisiejszym „świecie dorosłych” dawanie siebie jest możliwe i potrzebne, jest po prostu bezcenne. Przynosi nadzieję uczynienia tego świata choć odrobinę lepszym.

Wspomnienia Rodziny Zastępczej z województwa kujawsko-pomorskiego